

To była dobra noc, niezwykle dobra. Dobra dla zła: złośliwego, złośliwego, złośliwego, złośliwego.

Mroczna pora nadciągnęła, wypełniła krajobraz z miastem w tle ciemną szarością. Okryte kolorytem nocy miasto odcięło się od reszty świata kordonem dobrze zgotowanych szanów. Zwaliste mury łączyły wysoko ku rozgwieżdżonemu niebu. Ciągnęły się od szerokiej rzeki, od fortu wciętego masywną basztą w głęboką toń. Były twarde, ogromne i zimne w dotyku. Najeżone bastionami, splamione kształtami gigantycznych balist przydawały poczucia siły mieszkańcom. Sążniste, olbrzymie, toporne skały, które czyniły miasto silnym, górowały nad nim jak zastygłe w ciszy, niepokonane kolosy. Przynajmniej taka szła o nich fama. Znaczone nienaturalnymi skazami, szarpane niezręcznie zaprawionymi wyrwami, trzymały straż.

Trupio błądzący księżyc męczył się, ślamazarnie tocząc od jednej szpicy do drugiej. Tępe, zębate blanki przyjmowały go niechętnie. Obłapiały wieżycami baszt, zacierały lichy blask, odbierały nadwątloną rewerencję.

Czasem na tle niewykończonego miesiąca przechodziły z wolna groteskowe w chybotliwym świetle pochodni ledwie realne, migotliwe postacie.

Strażnicy.

Rozmowy, szczególnie te ściszone, niosły się daleko. Jednak ich sens ginął niezrozumiany w ogromie murów. Tylko śmiech wybuchał gładko — jasny i prosty, choć chwilami nerwowy. Czasem poryw nadmiernej wesołości zastygał, gdy któryś z ludzi wychynał poza kamienny gzyms, poza jego świat. Młoda, znarowiona bałwanstwem twarz starała się wykazać gorliwość. Niebystre oczka skryte pod kiepskim, żelaznym szyszakiem obserwowały mrok u dalekiego podnóża.

Człowiek patrzył, a szanice rzucały długie, poszarpane cienie i gładko tworzyły zagadki.

Kolejny cień, kolejny dźwięk i kolejny smarkaty wartownik wyglądał, sprawdzał, usiłował być czujnym, ale i tak nic nie zdołał dojrzeć. Cóż, czasami trudno zrozumieć, że w mroku czyha jedynie gęsty cień. Za to wyobraźnia robiła swoje, że aż strach — podsuwała szaleńcze wymysły.

Niepokój rósł, rozrącowane bajkami młodziuchne serce pukało żwawiej, oczy czerwieniały, usiłując przebić się przez ciemność, pot znaczył strach. Strażnik marszczył czoło, a rozsądek podpowiadał rozwiązanie:

— Toż to nic takiego. Szczur tam albo żaba, wstrętne morda jedna, łeb se ukręciła.

Człowiek zdawał się wierzyć w swoje słowa i natychmiast odpychał niepokojące myśli.

— Pierdoły niedorzeczne.

Chwytał mocniej niesioną pochodnię, a ślady lęku markował soczystym dowcipem. Wnet też odchodził dalej z kompanem, przy czym niekiedy spoglądał jeszcze za siebie. Okazyjnie kładł nawet dłoń na rękojeści tandetnego miecza, bo bywa, że lubi żalostne popisy. Żołnierz jeszcze wyciągał ucho, jeszcze kiwał głową zuchwale, ale już niewiele, tak, by poprawić w szczególności własną nastrojowość.

Odchodził, kontynuował obchód gargantuicznych murów.

Był strażnikiem, nocnym strażnikiem i nikim więcej.

* * *

Strażnicy z ostatniej zmiany weszli do starego, obłupanego z nadbudówek barbakanu. Okrągła fortalicja znów stała się cicha i ciemna.

Młodzieniec przypatrujący się barbakanowi z oddali przestał w końcu zwracać uwagę na budowlę. Odetchnął głębiej, napięcie opadło. Znów poczuł intensywny zapach rosnącej obok kępy arcydzięgielu. Miał jeszcze trochę czasu, zanim wartę obejmą opłaceni żołnierze. Rolę mieli prostą — otworzyć furtę, wpuścić bez pytania i odebrać resztę tantiem. Przynajmniej tak zakładał plan, według niego dobry, bo kupiony za pieniądze. Co prawda na razie za połowę sumy.

Młodzieniec cmoknął kącikiem ust, pozwolił sobie. Dobrze wiedział, że nikt niepożądany nie słucha. Odwrócił się na plecy, do ust włożył szorstką łądygę żółtego mleczu, przygryzł zamyślony, czego chwilę później pożałował. Splunął, bo zapomniał o gorzkim soku polnej rośliny. Ale to nie dmuchawiec wprawił go w złość, lecz gwiazdziste niebo przywołujące wspomnienia. Dlatego rozeźlony przeniósł wzrok z powrotem na mury. Wciąż jednak nie mógł porzucić cierpkich refleksji.

„Jak mógł dać się tak paskudnie wciągnąć! I gorsze, że utyłł się po uszy w absurdalnej historii!” — karbowane fałdkami przykrych wspomnień brwi wznosiły się i opadały na przemian.

„Magia!” — aż prychnął z obrzydzenia.

Magia była dobra dla kapłanów, magów i całej owej asekurancko-hochsztaplerskiej reszty, co to wierzyła, że może być lepsza, nie robiąc właściwie nic poza bezrozumnym paplaniem krotochwilnych słów.

— Gadki-szmatki — syknął.

On miał swoją własną magię. Wierzył w siłę miecza i potęgę władzy, bo magią zasłaniali się słabsi, co jeno kulasy od chodzenia po kramach zdzierali. Sam nie musiał, bo właśnie zaczynał się cieszyć mirem wśród rycerskiej braci i coraz większym uznaniem ludzi wpływowych.

— Przecie wystarczy dobrze fechtować i jeszcze lepiej główkować, a droga do dworskich synekur niechybnie stanie otworem — krótki śmiech.

Po cóż więc była zabawa w konspiracyjne spotkania, sekretne rytuały—dyrdymały i wtajemniczenia z przyjmowaniem naciąganych święceń? Całe to czyste, nieskażone ni ułomną cząstką myślenia kretyństwo.

Westchnął.

Zęby znów szarpnęły krótką łądygę, znów gorzki sok odcisnął na szlacheckim obliczu irytację, wlał się w niespokojną duszę.

Odpowiedź na to proste pytanie nie była szczególnie zaskakująca. Droga do zaszczytów leżała we wzbudzaniu zaufania ludzi wielce znaczących, a oni mieli różne pieprzne fanaberie. Od jakiegoś czasu i jego pryncypał dostał osobliwie nieciekawej fobii — począł uczęszczać na spotkania tajnego grona.

— Tajnego! — śmiech wydobyłby się gromkim głosem z wykrzywionych szyderczo ust. I on, cyniczny szlachcic, śmiałby się do rozpuku, gdyby nie jedno —

siedział w owym bajorku, ubabrany po pachy. Też mi ubaw. Cała grupa cymbalnych intrygantów.

— Heh... — cmoknął. — Hm... Bo jeśli wszyscy, poza mną oczywiście, owi familianci znamienici, są cymbałami, to kim ja, honorowy acz nieprzyzwoicie ubogi, jestem dla onego lepszego towarzystwa? Tycim cymbalkiem? — zrodziły się pytania sugerujące nieprzyjemne odpowiedzi.

Młodzieniec znów przygryzł łydęgę, ale tym razem gorzcy zimnego soku ostudziła paskudne myśli.

Pamiętał — było ciemno. Mimo wszystko i tak rozpoznał nad podziw liczne grono arcyważnych osobistości. Idąc na spotkanie myślał, że będzie uczestniczył w sekretnej, zakulisowej polityce. Jakże srodze zwiódł się jego polityczny światopogląd, gdy zobaczył kapłana mikrego, ciemnego, w dodatku schowanego pod wymiętą, adamaszkową opończę. I tylko barchanowe kalessony wystawały, opadały na nieco za duże łapcie z baraniej skóry, takie brzydkie, okrutnie źle spasowane. Człowiek, niemal starzec, ale nielecho sprawny. Robił swoje, a zebrani z namaszczeniem musieli bezmyślnie przygadywać do nijakiego rymu.

„Gnojarska ich mać” — młodzieniec wykrzywił się na wspomnienie nękających umysł obrazów. Owszem — rozumiał, że musi pogrywać jak inni, bo przecie głupa udawał nawet jego pryncypał, bo przecie patron patrzył na młodzika nawet uważniej. Dlatego kołysał się w takt stukotu blaszanych bębenków, mruzczał nieznane słowa uduchowionym głosem i celująco strugał z siebie bezkonkurencyjnego wariata.

Wszystko byłoby dobrze, wszystko można byłoby przeżyć, gdyby nie pewne zdarzenie. Otóż: mając stosownie niewyparzoną gębę, młodzian napomknął coś do pryncypała o nietypowości wyprawianych obrzędów, ale patron ofukał go nadzwyczaj niemilosierdzie. I właśnie wtedy przestała się młodziankowi rzecz podobać, gdy zrozumiał, że chlebobdawca bierze owo całe tanie granie zbyt poważnie.

Przestało być wesoło i ubaw się skończył. Mały, wiecznie schowany pod kapturem szaman począł okazywać piekielną natarczywość — podchodził, patrzył ognistym wzrokiem w oczy, macał.

Właśnie wtedy prawdziwe obrzydzenie wstrząsnęło ciałem młodzieńca po raz pierwszy.

Później znacznie gorsze rzeczy zobaczył w oczach kapłana, pulsujących nabiegłą krwią... Wyglądało, jakby ofiarnik oceniał wiecowników niczym rzeźnik sztuki bydła — ta dobra, ta nie całkiem, a tą zeżremy sami.

Potem arogancki szaman zaczął przywozić zwierzęta. Zarzynał stworzenia na przymałym ołtarzyku. Powoli, starannie, by wrzask ofiary trwał jak najdłużej, a krew kapłała jak najwolniej. Kury, psy, koty, jagnięta...

Ostre igły przeszły po plecach jak armia cierni.

Mężczyzna odrzucił gorzki mlecz precz od siebie. Wygryziony kwiatek wleciał w kępę pęcherzykowatej turzycy.

Gdyby jednak kapłan na owym poprzestał. Ale nie, szaleństwa jeszcze dosyć nie było. Szlachcic widział barbarzyństwo w złych oczach, widział w gronie stałych bywalców. Ludzie zatraceni w obłędzie, trans za każdym spotkaniem silniejszy.

Potem już sami rozrywali zwierzęta i w kulminacyjnym momencie chleptali szkarłatną posokę.

Miał już dość, użył obłędu ponad miarę. Kleszcze znów chwyciły żołądek, targnęły jak na jednym ze spotkań. Rozsądek z trudem powstrzymał protestujące ciało. Pryncypał był ze swego podwładnego szczerze zadowolony.

Młodzieniec otrzymywał najtrudniejsze zadania, ale zbierał i największe nagrody.

Jednak nie tak dawno temu wszystko popsuło się do imentu. Na zgromadzenie przyprowadzili starego człowieka. Coś się stało. Młodzieniec nie spamiętał za dobrze co. Szaman wmusił w zgromadzonych po ćwierć garnca wywaru. Chociaż roztworu nigdy nie pił, odgadł, że dostał blekotu.

Utonął w ciepłej, cukrowej wacie. Nierealny świat, nierealni kompani, nierealny ołtarz.

Potem były już tylko majaki, zwydy, koszmary. Gorączka wtargnęła do pamięci, wyróciła obrazy wspomnień, sprawiła, że rzeczywistość znikła pomiędzy zmorami wyobraźni. Szlachcic zadrżał. W jednej ze scen ujrzał siebie całego we krwi, w innej widział uczujących towarzyszy, raczących się krwawymi szczątkami, zaś w jeszcze innej zobaczył potwora.

Ostatnia wizja wstrząsnęła nim najbardziej. Coś plugawego wisiało nad czerwonymi ochłapami. Pysk. Maską śmierci, rozpusty, błyskawicznych ruchów zabijała leżącego na ołtarzu starca. I te straszliwe pohukiwania, gdy kreatura spijała tryskającą z serca fontannę krwi.

Bogowie!

Trzasnęła gałązka, umysł zareagował.

Oczy powracające z zaświatów przywidzeń wbiły się w blade plamy księżycowego światła, uwaga skupiła na nocnym zdarzeniu. Dobrze, byle dalej od własnej pamięci.

Ostrożnie, by nie narobić hałasu, wysunął z pochwy miecz. Odwrócił się w stronę niewielkiej kępy zbitych drzew. Marna osina, w środku trochę czarnych bzów, gęstwa splecionej turzycy. Tuż obok stał spokojnie jego wierzchowiec. Zaiste, gdyby siedziało w gajku jakie zagrożenie, zwierzę ostrzegłoby pierwsze.

Ale kto tam wie.

Mężczyzna powiódł wzrokiem do miejsca, skąd doszedł podejrzany dźwięk. Nie czyniąc więcej hałasu ponad szelest poruszanych traw, zaczął prześlizgiwać się w kierunku mizernego chruśniaka. Niepełny księżyc oświetlał błonie. Oczy, przyzwyczajone już do ciemności, widziały dostatecznie wiele. Ale nie tylko ostrożność podpowiadała młodzieńcowi, by nie spieszył na miejsce zbyt ochoczo. Jeszcze był rozważny. Co chwila przerywał wędrówkę, przepatrywał i nasłuchiwał.

Niewysoka trawa pachniała intensywniej, gdy gniótł ją odzieniem. Rozchyłał giętkie lance delikatnie, kładł łagodnie, sprawdzał dłonią czy nie ma suchych, łamliwych gałązek. Ostry miecz nurzał w zielonym kobiercu, by nie rzucał refleksów.

Dotykał pachnącej łąki, ale ledwie piękno rejestrował. Wpatrywał się w swój cel. Był blisko, rozchyłał drobne kwiatki rdestu, gdy usłyszał trzask podobny do

poprzedniego. Przywarł do ziemi. Ściśnięta mocno głowica wbiła się w dłoń wiązaniem twardych rzemieni.

Mężczyzna począł skrupulatnie przepatrywać mętne cienie.

Czasy były niespokojne. Wielu ludzi ginęło w nieciekawych okolicznościach. Żebracy, łachmyty, włóczędzy. Ale nędzarami nikt się specjalnie nie przejmował. Lecz od pewnego czasu zaczęli ginąć również mieszczanie. Niby nie szlachta, ale już ktoś ważniejszy od zwykłego kmiota.

Cóż, zbóje. Tak mawiano na początku, podwajano patrole, jednak sprawa płytka nie była. Nikt już w coś gorszego nie wątpił, gdy znaleziono pierwsze krwawe ścierwo. Potem bywało różnie. Resztki straszliwie okaleczonych ciał, czasem rozwleczonych na jakiejś drodze, a czasem tylko porozrywanych i złożonych w bezwładną kupę. Łączyło je jedno — zawsze były pozbawione krwi, jak u chłopa na szlachtowaniu świń.

Młodzieniec raz oglądał zwłoki. Wezwano go, gdyż podejrzewano, że znał ofiarę. Znał. Zwymiotował. Musiał wyjść. Cały tydzień patrzył ze wstrętem na jedzenie. Poznał zabitego po drucianej haftce, robionej jedynie dla zmarłego, w kształt okrętowej kotwiczki. Precjoza zrabowano wcześniej. Miejsce zbrodni też widział. Hieny, które okradły zamordowanego, rzygały także. Westchnął. Niewielka satysfakcja.

Wzdrygnął się. Nie było podejrzanych. Ludzie księcia zrzucali wszystko na barki straży miejskiej, mówiąc, że są od obrony miasta przed wrogiem zewnętrznym. Burmistrz też zrzucił wszystko na kapitana straży. Ten zaś bagatelizował sprawę, próbując jednocześnie łapać nieco bardziej krewkich rzezimieszków. Za każdym razem obwieszczał światu, że złapał mordercę.

Prostackto nawet się trochę uspokajało, zwłaszcza po hucznej ceremonii obcinania łba. Wszyscy widowisk oczekiwali, bo bywał na przedstawieniach księżę. Rzucił garściami miedziaki. Cóż, był tylko księciem.

Jednak co jakiś czas morderstwa się powtarzały. Ostatnio akurat częściej. I wciąż niby nikogo nie podejrzewano. Niby...

Młodzieniec rozciągnął oblicze w parszywym uśmiechu. Dzięki jego zabiegom wśród miejscowych poczęły krążyć śmielsze komeraże. Cel był jeden i znajdował się po drugiej stronie rzeki.

Cytadela.

Daleka, niedostępna, cicha, wzbudzała obawę. Na wyraźne polecenie pryncypała młodzieniec obawę bez ustanku kruszył i rozwiewał. Aż przyszedł czas na kolejny etap. W stronę czarnej warowni obrócił prawdziwy gniew. Czy motłoch poszedłby tam z widłami i kosami? Kto wie? Na pewno z motłochem poszedłby księżę.

Poszedłby. Mężczyzna westchnął, znów rozchylił rdest. Najlepszy w wykonywanych zleceniach był fakt, że zbyt wiele knuć nie musiał. Słówko tu, dwa słowa gdzie indziej, butelka wina, parę srebrników dla łasej kieszeni i już. Sprawa rozwijała się lepiej niż sobie zamierzył.

I zamek po drugiej stronie rzeki przestał stanowić ostoję zacności. Nie wystarczy być uczciwym, trzeba przekonać o cności innych. Heh... A rzeczy takiej jak

ta nie uczynisz odezwą na rozstajnym drzewie. Trzeba do serc sięgnąć przez żołądek, kiesę i przyobiecanki. Zupełnie jak na wyborach cechowego mistrza. A w wygrywaniu wyborów młodzieniec miał doświadczenie. Wykonywał zadania tak dobrze, że pryncypał coraz wymowniej okazywał zadowolenie — poklepywał po ramieniu z lisim uśmiechem na twarzy.

Gałązka znów trzasnęła. Szlachcic zmarszczył brwi.

Właśnie, wszystko pięknie, tylko aktualnie siedział w trawie sam. Samiuteńki, zgoła jak obcięty palec. Nie miał wokół towarzyszy broni. Plotki plotkami, lecz trupy faktycznie istniały. W nocy, za miejskimi murami, cała historia zaczęła nabierać nowych kolorów. Już nie chciało mu się śmiać jak przy śniadaniu z kompanami. Czoło przecięły bruzdy rosnącego napięcia, głównia miecza spotniała od słonych kropel, zdenerwowanie zaczęło brać górę.

Młody rycerz podążył do zagajnika. Męczony nawracającymi obrazami, maltretowany grą wyobraźni i podniecany siłą własnego sprytu przestał myśleć rozsądnie. Albo i też można w takich okolicznościach pozostać całkowicie trzeźwym? Zwłaszcza po kolejnym z serii paranoicznym spotkaniu? Mamił się.

Był już zupełnie blisko, gdy kolejny trzask poderwał szlachcica na równe nogi, podniósł w górę szpilą potężniejszego strachu. Młodzian z obnażonym mieczem przedarł się przez dzikie krzaki, prosto w serce gęstwiny. Wyglądał niesamowicie. Przekrwione oczy, zaślinione wargi, odsłonięte zęby, miecz wzniesiony, gotowy do zadania ciosu.

Wpadł na środek polany, gotów stanąć do walki ze wszystkim. Prawie. Lecz nie wszystko chciałoby się zmierzyć z nim. Patrzyły na narwanego młodzika trzy pary wielkich, czarnych ślepi. Trwało moment, zanim uświadomił sobie, że naprzeciw pasie się stadko danieli. Matka z dwoma młodymi. Zwierzęta zeszywniały zaskoczone nagłym wkroczeniem człowieka. Nim rzuciły się do ucieczki, kompromitacja wyrzeźbiła na twarzy mężczyzny niemądrą minę.

Młodzieniec patrzył na ginące w mroku zwierzęta. Wreszcie opuścił miecz, podrapał się serdecznie w głowę i zaśmiał cicho.

— Oby wam kwiatki w żołądku gębą wylazły. M n i e straszyć, phi — mruknął i pokręcił głową, po czym przyglądał rozczochrane włosy. — Głupich danieli się obawiać. Tu nie ma czego się bać, tu trzeba na mocne piwo iść — przywołał starą prawdę, chowając do pochwy miecz.

Osiki zatrzęsły wiotkimi liśćmi. Wiatr przeleciał po błoniach.

Druciana siatka była nowa. Nieułożone jeszcze stalowe kółka kolczugi uwierały. Wylazły wzgórkami na kaftanie z twardej, łosiowej skóry. Wychodził z zagajnika, ugłądał odzienie, patrzył na księżyc. Złożył usta w linijkę.

— Już czas — szepnął, podchodząc do wierzchowca.

Położył rękę na pysku. Zwierzę prychnęło, ale dało się pogłodzić. Wciąż strzygło uszami po niefortunnym wypadzie pana. Młodzieniec uspokajał konia, głąskał dobrą chwilę. Deresz podrapał wilgotną ziemię ostrym kopytem. Zarzął przyjaźnie.

Mężczyzna westchnął, wypuścił z siebie niepokój. Odwiązał wierzchowca od grubego konara i chwycił za uzdę. Koń prychnął, ponownie zmarszczył chrapy, spuścił łeb, po czym całkowicie poddał się woli człowieka.

Szlachcic dosiadł konia. Ruszył do bramy.

Deresz stapał niemal bezgłośnie, nie stukał po kamiennym trakcie. Mężczyzna jechał obok, po zielonych, nieco już wydeptanych poboczach.

Był dosyć daleko, gdy znów trzasnęła łamana gałąź. Odwrócił głowę, jednak nic nie zobaczył.

— Parszywe zwierzaki. Jak nic, z rana pojedę na łowy, jak nic. Tuzin ustrzelę — warknął mężczyzna, obiecywał, starał się utrzymać odzyskany niedawno animusz. — Bo teraz żem cokolwiek zmęczony.

Po prawdzie był zmęczony. Przecie nie usprawiedliwiał się z powodu nocy i bajek o potworach.

Nieopodal barbakanu znów doszedł go suchy trzask. Lecz teraz, w bliskości murów i ludzi, nocne mary nie wydawały się groźne. Nie rzucił przekleństwem, bo po co? Ale na wszelki wypadek wjechał na trakt. Pogonił deresza. Dopiero kiedy w stukot kopyt wdarł się inny, słabszy, ale jakby mnogi, nie wytrzymał i spojrzał.

Błądzący na twarzy drwiący uśmieszek spełził, gdy w oddali zobaczył trzy majaczące cienie. Wyglądały na daniele, może sarny — mdła iluminacja obserwacji nie sprzyjała. Tylko ślepie nie były czarne, a świeciły odbitym księżycowym blaskiem.

— Co tak wietrzycie, wy leśne mordy, co? — powiedział głośno. — Wynocha, bo jak mi Bobrun miły, zawrócę i utnę łby. Do licha... Sio stąd, ale już.

Machnął ręką, ale zwierzęta chyba idei gestu nie zrozumiały. Nie uciekły, choć trzymały bezpieczną odległość. Młodzieniec ze złości szarpnął cuglami, postawił deresza.

Cóż, widocznie trafił na rozzuchwalone daniele. Rycerz dźgnął ostrogami, porzucił rzecz nietypową, przełknął ślinę.

Ale nie, nie bał się. Taki zuch jak on rzadko się boi. Widział już trochę dziwów w swoim życiu, a w obliczu cywilizacji i dobrze oświetlonych furt miasta mało go to dziwne zachowanie obeszło. Przynajmniej tak sobie wmawiał przez cały czas.

Pognał konia. Nie miał ochoty ganiać za nienormalnymi, leśnymi zwierzętami. Może też jakiego szaleju zeżarły?

Dopiero gdy rumak parsknął ze zdenerwowania, w końcu nie zdzierzył i popatrzył. Dałby sobie głowę uciąć, że daniele podeszły bliżej. Znów podświadomy impuls szarpnął sercem.

A może to wysłannicy ciemnych mocy? Opętane przez złe duchy chodzą na usługach czarowników.

Albo szamanów. Powiało grozą niczym na iluzyjnym spotkaniu.

Zastanawianie się sprawy nie poprawiło. Cieni przybyło. Naliczył przynajmniej pięć. Rycerz porzucił konwenanse. Spiał ostro konia i pognał do barbakanu. O ile przedtem nie chciał zwracać uwagi żołnierzy patrolujących inną część murów, o tyle teraz młodziankowi przestało zależeć. Koń wyczuł nastrój pana, ruszył z kopyta. Żelazne podkowy zaczęły wystukiwać rytm.

Do zbawczej bramy gnał prawie na złamanie karku. Trwało chwilę, nim wjechał z impetem w szeroką aleję przed barbakanem. Ogromna, wzniesiona z wielkim pietyzmem budowla stała nad nigdy nieużywaną fosą. Strzegła dostępu do małej bramy niedaleko rzeki, a blisko potężnego, nadbrzeżnego fortu. Pechowe miejsce, za to dobre dla młodziana. Wierzchowiec sadził dużymi susami, a mężczyzna bezwiednie zaciskał usta.

Wreszcie dotarł. Był przy wrotach. W pędzie zeskokczył z konia i podbiegł do metalowych drzwi. Zadudnił pięściami w niewielką furtę.

— Otwierać! — krzyknął, ale głos zabrzmiał dziwnie głucho. — To ja. Otwierać, psy, bo wam moje złoto z gardła wyciągnę! Słyszycie?

Pytanie zagłuszył ryk wierzchowca. Zaskoczony mężczyzna w miejscu zrobił zwrot. Tam gdzie zostawił deresza, konia już nie było. Wszystko spowiła mgła. „Mgła? Skąd się tu wzięła?” — dziwił się nawet wtedy, gdy ciemna zasłona opadła na drogę. Okryła wszystko w promieniu kilkunastu stóp. Z pewnością nie były to nocne zwidy. Młodzieniec wyszarpnął miecz.

Poczuł ruch wokół siebie. Wprost na niego wychodziły cienie. To, co uważał za leśne zwierzęta, zmieniało się. Rosło w miarę przybliżania, przybierało ludzką postać. Mężczyźni w czarnych opończach, ukryci pod kapturami z malunkami danielich głów.

— A więc to tak, czarcie gady! — młodzieniec rozumiał. Omamy, przywidzenia, wszystko, by go pojmać. Poczuł się nie całkiem mile połączony. — Czyli z magią wyjeżdżacie, szubrawe śmieciojady? Dobrze więc, zaraz wam pokażę moją.

Wystawił miecz. Stał na lekko zgiętych kolanach. Ale dopadła młodziana inna myśl, aż włosy stanęły mu dęba: tak pod bramą otaczają człowieka, a nikt nic nie widzi, nie pomoże? A może nie ze zwykłymi ludźmi miał do czynienia? Na czarnych okryciach postaci nie miały żadnych insygniów. Właśnie zamykały półokrąg tuż przy metalowych wrotach. Rycerz odwrócił głowę.

— Gdzie jest brama? — spytał zbałamucony, widząc jedynie ciemną pustkę.

Może i nie widział wrót, ale przecież twarde skrzydła czuł. Uderzył, wymacał stalowe podwoje. Gruchnął pięścią jeszcze raz, powtórzył.

— Otwierać! — ryknął w stronę, gdzie powinni stać wartownicy. Nuta strachu gościła w głosie. Nikt nie odpowiedział. — Słyszycie? To ja, Cztan, otwierać, dymane wały, albo flaki wypruję!

A może strażnicy są zamieszani w spisek?

Czarne postaci zbliżały się. Było jasne, że są pewne ofiary. Nie przejmowały się wartownikami. Młodzieniec wpadł w pułapkę. W rękach napastników błysnęły krótkie sztylety. Proste, o rękojeściach z polerowanej kości i klingach pokrytych runami.

— Myślicie, że babskimi kordzikami coś zdiełacie? — zawołał, maskując lęk szyderczym tonem. — No, chodźcie, szczury! Zaraz tu ode mnie stalowy datek na lepsze koziki dostaniecie, a prosto w wasze ćwikane czerepy jałmużnę wam wsadzę.

Odwagi szlachcicowi nie brakło. Wpadł niby szarżą między czarne figury. Machnął mieczem. Jeden z napastników przyjął uderzenie dziwnie sprawnie, na niedługie ostrze sztyletu. Żelazo opadło na żelazo, skrząc snop iskier. Młodzieniec

nie myślał nad niezwykajnym trafem długo. Zrobił zwód na pięcie i uderzył pięścią kolejnego napastnika, po czym wyprowadził cios prosto w twarz. Ciemna postać zatoczyła się.

Rycerz jednak nie czekał, aż mężczyzna upadnie. Chciał uciec na drogę, przebić kordon i dopaść wierzchowca. Miał nadzieję, że deresz stoi tam, gdzie go zostawił. Potem wystarczyłoby dotrzeć do rzeki. Na brzegu miał jakieś szanse. Choćby i trafić na strażniczą galerę. I obojętne było, czy wyląduje później w książęcym lochu, czy w miejskim więzieniu.

Uciec — tylko jedna myśl tłukła się w głowie. Przyspieszała ruchy, zwielokrotniała doznania. Wbił komuś fangę w żołądek, uchylił się przed ciosem, przerzucił ciężar na drugą nogę i skoczył.

Wyszło mu, chybnął poza oszołomionych przeciwników jakby ze szturmowej kuszy wystrzelony. Przez długą chwilę gnał po omacku w szarej mgle. Wydawało się, że pobłądził, ale on uparcie sadił do przodu. Nie dopuszczał czarnych myśli.

Zajaśniało, więc przyspieszył. Po kamieniach poznał, że trzyma wciąż właściwy kurs. Mgła rzedła.

Dobrze, teraz jeszcze szybciej w bok. Jednak nie dane mu było pokazać jak szybko potrafi uciekać, bowiem zobaczył przed sobą rząd czarnych postaci.

Usłyszał kroki. Z tyłu nadciągała pogoń. Tym razem miał przeciw sobie kilkunastu zadziurów. Dużo jak na jeden raz.

Poczuł zmęczenie, opuścił miecz, a napastnicy zamykali spokojnie koło. Kordon dobrze uszczelnili. Młodzieniec nie mógł liczyć na zaskoczenie. Przypomniał sobie zwłoki na oględzinach. Jeśli to ci? Ci, co wysysali krew?

Mgła za nim zasłaniała widok. Przeciwnicy używali magii. Spochmurniał, już nie miał wątpliwości, że to ci.

— Żywcem mnie nie weźmiecie — zakomunikował głucho, groźnie. Głos mu nie drżał. Zdecydował. Walka już nie o życie, ale o szybką śmierć.

Wzniósł miecz i ruszył w największą ciżbę wrogów. Pierwszego ciął wprost przez środek głowy. Miecz ześlizgnął się, ale siła, jaką włożył w uderzenie, wyłączyła napastnika z gry. Potem zamach morderczą stają na drugiego. Ciął przez pierś, lecz jedynie ranił. Ktoś przyparł szlachcica od tyłu. Inny próbował pochwycić rękę z mieczem. „Nie chcę zrobić krzywdy” — pomyślał. Wyrwał się i rzucił do tyłu. Ścisk był nieco za duży na prawdziwe fechtowanie. Ale on i tak, wściekły, walczył nad podziw sprawnie. Furia zdesperowanej ofiary znów zaskoczyła atakujących. Co rusz któryś z zakapiorów upadał. Niektórzy ranni, inni tylko oszołomieni, ale wstawali, gotowi do dalszej walki.

Młodzieniec ciął i odpychał, uderzał i parował. Dziwna to była walka, bez trupów. Do czasu.

Siły go opuszczały. W pewnym momencie stracił równowagę i poleciał wprost na jedną z czarnych kukieł. Napastnik nie zdążył cofnąć ręki i młody rycerz nadział się na niewielki sztylet. Poczuł coś zimnego, niezgrabnie dziurawiącego ciało. Wchodziło okropnie wolno, jakby nie chciało.

A więc już dokonał wszystkiego w żywocie. Widział jak upada, jak członki odmawiają po kolei posłuszeństwa. Czuł drętwienie ciała, zimno i niemoc biorące udręczonego w ostateczne panowanie.

Tak wygląda koniec?! Uśmiechnąłby się, gdyby mógł. Ale nie mógł. Był zadowolony. Nie miał zamiaru uczestniczyć w czarnych obrzędach jako ofiara na ołtarzu.

„Na ołtarzu!” — zadygotał, gdy przez gasnący umysł przeszła zła myśl. Czyżby t e n ołtarz? Możliwe, że siedział przy owym ołtarzu? W dworku, w którym bywał z pryncypałem? Jeśli tak, a jeśli nie? Może jest jeszcze ktoś inny, dostatecznie zły? Może...

Ciemność, ostatni haust powietrza. To już nieważne. Przestały młodzika obchodzić własne myśli. Zobaczył światło. Zimne światło. Ciągnęło szlachcica do niepewnej jasności. Dusza zaczęła iść. W miarę zbliżania wionęłocięplem. Najpierw niewielkim, potem silniejszym. Wraz z ciepłem przyszło coś jeszcze.

Poczuł ból. Ból?! Panika zatrzęsa umysłem. Bo przecież boleć ma prawo jedynie życie. A światło? Jak może być zimne, gdy wokół ciepło?

Myśli znów napłynęły. I Człan zrozumiał. Nie trafił na owo spodziewane, ostateczne światło. Oczy rozszerzył szeroko, gdy patrzył na ogromną tarczę księżycy.

Żył, a nad nim stała czarna postać. Spod kaptura wystawała głowa. Całkowicie bezwłosa, o doskonale obojętnym spojrzeniu. Tak ją zapamiętał. Człowiek jedną rękę trzymał na wciąż tkwiącym w boku rycerza sztylcie, a drugą poruszał nad słabnącym sercem. Gdy skończył, wyszarpnął ostrze.

Ciałem wstrząsnął jeszcze gorszy ból. Gwiazdy i dzwony. Feeria blasku i wściekłego szczęku. Strach.

I jedna myśl: żyje, a życie oznaczało śmierć w najokrutniejszych mękach. „Ale dlaczego ja?!” — chciał zawyć, lecz ktoś wsadził mu w usta knebel. Niepotrzebnie. I tak był zbyt słaby.

Ręce przywiązali do noszy. Coś spadło na głowę, odcinając od świata. Kaptur z danielim łbem zakrył oczy.

I znów przysła siła, tym razem zrodzona z czarnej rozpacz. Rzucił się, ale nie robił już na nikim stosownego wrażenia.

Mroczne postaci ruszyły, uchodząc dalej od bramy. Nie zdołały zakłócić nocnych szelestów, tylko słaby stukot zwierzęcych racic poleciał w świat.

* * *

Żelazny, źle wyklepany napierśnik kraśniał rdzą. Był prosty, bez zdobień, choćby i siermiężnych. Lecz i tak przyciągał wzrok żołnierza, sylabizującego trudne wyrazy z pięknie drapowanej książki. Mężczyzna siedział w migotliwym świetle oliwnych lamp, ale nie dane mu było dalej czytać.

Coś usłyszał. Chyba że mu się wydawało. Stanowił charakterystyczny egzemplarz młodości i dzielności, więc nie mogło się bohaterowi wydawać. Nie powinno.

Sprawdził. Wychynął przez ciasnawy otwór, spojrzął z wysokości nadwieszzonego wykusza. Zmarszczył nos, przesunął łańcuch z ruchomą pochodnią daleko w dół. W sumie już nadszedł właściwy czas. Miał otworzyć furtę dla jednego ze szlachciców, owego frymuszka od nocnych schadzek. Akurat — rozciągnął wąs w uśmiechu. Wzruszył ramionami, bo skoro tak mówił dowódca, tedy trzeba myśleć dopiero po rozkazie. Ale nikt nie kazał wierzyć.

Człowiek miał przybyć już dosyć dawno temu, jednak w bramę nie zadudnił, hasłem nie obwołał.

Wojak patrzył, niestety nie wypatrzył osobnika przykazanego przez dowódcę.

— Grzybron! — zawołał do swojego towarzysza, drzemiącego po drugiej stronie wąskiego pomieszczenia. — Widziałeś kiedy co podobnego? Chodź, zobacz.

— Zamknij się i nie budź po próżnicy, jeśli nie widziałeś naszego fircyka — dziurawy wołokowy koc szczelniej przykrył nalane oblicze. Śmierdział podłym winem.

— Chodź. Nie widać po prawdzie szlacheckiego safandudy, ale coś, hm... dziwniejszego? — młody wojak usilnie gnębił towarzysza wyjątkowymi rewelacjami.

Oprócz cichego przekleństwa spod brudnego koca wyszedł jedynie brudny palec. Onuce również śmierdziały.

— No chodź, rzuć doświadczoneym okiem, spasiony wole — kolejny raz młody wartownik ponaglił kompana.

Grzybron w końcu nie wytrzymał. Wstał zupełnie pozbawiony radosnego podniecenia.

— Czego tak, Borgusz, ryja drzesz? — warknął. — Co tam, uchłany porucznik znowu sika z wieży? Chcesz mnie skazać na obserwację jego małego ptaka, palancie? Nie martw się, fosy na pewno nie zapełni.

Jednak dołączył do kolegi. Kwiecie wieku miał już dawno za sobą. Wyjrzał w dół przez mały otwór.

— Daniele — mruknął. — No i co w zwykłych przeżuwaczach dziwnego? Co, lasu na horyzoncie nie widzisz? Przecie jak świat światem, kędy drzewami zawsze pełno wszelakiego zwierza — mówił zgryźliwie, ale z zainteresowaniem obserwował puszczańskie stworzenia. — A te gnioty pewnie ze zwierzyńca jakiego szlejewacka uciekły i polazły pod bramy. Pewnie myślały, że żreć dostaną.

— Niby tak — Borgusz nie wyglądał na przekonanego. — Jeno nie w samych danielach rzecz.

— A niby w czym, gamoniu? — Grzybron zlizął z ust kropelki zaschniętego wina, po czym obtarł w wyszmelcowany rękaw. — Wieczorna służba na łeb ci się rzuciła, nie podoba się? Danieli się zachciewa? Tedy gajowym trza było zostać albo dozorcą zwierzyńca.

Kompan, niezrażony szyderczym tonem, myślał, odgarniał miedziane, tłuste włosy.

— A łypnij no dobrze, jak między sobą prowadzą kapitalną sztukę, co w ogóle leżć nie chce — pokazał palcem. — Widzisz? Owego miglanca w środku, tego wysokiego, hę? No i co pan, panie frajter, na sprawę powyższą?

Stary wojak znów spojrzał na stado, a patrzył szczególnie niechętnie. Wydał mięsiste usta. Istotnie – wyglądało na to, że jeden ze zwierzaków nie chciał iść z pozostałymi. Wierzgał, umykał na boki, ale pozostałe trzymały bałamuta twardo.

Grzybron zmarszczył brwi, zatrząsł głową, podrapał brudnymi paluchami po zadku i pierdnął. Nie grzeszył mądrością, aczkolwiek potrafił niedomagani ukryć. Mimo zdziwienia zrobił szczwaną minę.

Starszą, nienawykłą do wysiłku myślowego twarz pokryła sieć bruzd. Grzybron usiłował znaleźć proste rozwiązanie. Zupełnie akuratne, a najlepiej jeszcze prostsze.

Czas płynął sobie banalnie, daniela uchodziły coraz dalej, a rozwiązanie pozostawało tak samo odległe, jak na początku.

— Wiesz co, świerzbie młody? — Grzybron wycofał obfite cielsko z okna. Ciężkim krokiem dotarł do łóżka. Taktycznie usiadł na upatrzonej wcześniej pozycji. — Przestań mnie w głowie kręcić. Ty masz pilnować, żeby byle cham się tutaj nie pałętał, a nie kombinować, co zwierzaki robią po nocy. Rozumiesz, szczyłu?

— Ale przecie właśnie pilnuję — zaprotestował Borgusz. — I kiedy widzę, że coś nie ten tego, to melduję, czyli wołam ciebie, jak to w regulaminie... — chciał dokończyć, ale przerwał starszy towarzysz.

— Aaa... — Grzybron potrząsnął tłustym palcem. — Stul pysk i z regulaminem mi nie wyskakuj. Ktoś ci chyba w zaprany łeb sznycpla dzisiaj wsadził, a tyś młody i głupi — powiedział, dumny z wyżyn własnego stopnia. — Robisz w wojsku, więc jesteś żołdak, a nie uczoney. W żadnych przepisach o danielach nic nie stoi. W armii płacą jeno za rzeczy zwykłe, czyli regulaminowe. A o niezwykłych nic w kodeksach nie ma. Za wyjątkowość, baranie, wsadzają do pierdla. Bo widzisz: rzeczą podobną jest, na ten proścusięński przykład, brak książki pana porucznika o zbrojach na naszego dowódcy półce. Masz szczęście, że porucznik przestał za foliąłem chować butelkę i na razie nie jest mu potrzebna. Książka znaczy się. Ale niech no tylko ktoś o zgubie przypomni...

Borguszowi opadły ręce. Położył po sobie uszy i spojrzał, jakby patrzył z wysokości czubków własnych butów. Złe buty. Ciasne, nowe i już dziurawe.

— Ja ledwie ją wziętem. Żeby poczytać, jak uzbrojony mam na wojny chodzić? — próbował bronić swego zapału do wiedzy. Rozpalił jedynie zjadliwe ogniki w kaprawych oczkach kompana.

— I dlatego widzisz: jak dobrze, że za rzeczy niezwykłe nie płacą. — Grzybron znów groził palcem, słuszna regulaminowa logika wygrywała. — Gdyby płacili, mógłbyś już nie tylko z wojska wylecieć, ale nawet do lochu, bracie, trafić. Nie zadawaj więc głupich pytań, jeno daj ludziom robić swoje — co mówiąc, przesadnie rozciągnął na krótkiej pryczy pulchne cielsko. Nasunął na oczy koc i zachrapał głośno, ostentacyjnie.

Stłamszony niezbitą logiką kompana Borgusz zagryzł wargi. Podjął równie drastyczne środki. Klapnął ciężko na drewniany stołek, przysunął lampkę i utkwiał wzrok w rozłożonej książce.

Oddał się lekturze. Nie zauważył nawet, że czyta ze zrozumieniem.

Coś żołnierzowi jednak spokoju nie dawało, mąciło rozsądne myśli. Wstał. Wyjrzał na łąkę raz jeszcze.

Stado nikło w szarej mgle. Z dużej odległości zwierzęta wyglądały nienaturalnie. Wciąż nie mógł skojarzyć, co w zachowaniu danieli gryzło jego młode serce. Z ogromnym napięciem śledził pochód.

Oczy szczerwieniały, a obraz drgał błyskami od długiego, uważnego patrzenia w jeden punkt.

I w końcu zobaczył, lecz nie wiedział już, czy widzi naprawdę, czy też zadziałała młodzieńcza fantazja. Przeszły wojaka zimne ciarki, gdy usiłował rozróżnić cienie rzucone przez zwierzęta. Bo to nie były zwykłe cienie, ale inne, wydłużone, wysokie, jakby w kapturach. Strażnik złapał za kamienny gzyms. Cienie przypominały ludzi.

Młodego człowieka ścisnęło w gardle. Odchrząknął, ale nie za głośno, a potem odsunął od okna. Z niejakim zdziwieniem spostrzegł kapiący z czoła pot i zauważalnie drżące ręce.

Popatrzył na pochrapującego towarzysza. Tuż obok wesoło pełgał płomyk oliwnej lampki. Na wszelki wypadek rzucił okiem na własny cień. Ulga odmalowała się na nietępych obliczu. Westchnął. Tak, to był dobry, zwykły cień. Nawet rozróżnił swój za duży nos.

Otarł wierzchem cajgowego kaftanu słone krople i strzepał przezroczyste kapki, bo wilgoć wsiąknąć w utłuszczoną bawełnę ochoty nijakiej nie miała, po czym wziął książkę. „Armatura orężna w przyczynkach wojennych” — tytuł jednoznacznie oddawał treść. Wartownik wzruszył ramionami. Żelazo i stal. Przynajmniej metal można było kielznać tak po zwykłemu, ogniem i młotem.

Przewrócił kartkę.

* * *

Gdyby Borgusz obserwował dalej, zdziwiłaby wojaka jeszcze jedna rzecz. Daniele uchodziły, ale jakoś nie do odległego boru, ale w stronę rzecznej trzcinowiska, do schowanej w szuwarach łodzi. Gdyby borguszowa ciekawość była jeszcze większa, zauważyłby również i inną mroczną figurkę. Bieżała podle niewielkiego wzgórza skryta pod ciemną opończę. Trzymała bezpieczną odległość, ale dokładnie podążała za rzekomym stadem. I podczas kiedy niezwykle zwierzaki znikły pod baldachimem żaglowej krypy, samotna postać przytulona do dna małego, ręcznie wydrążonego czółna, płynęła śladem niezwykłych danieli. Była niczym nocna mara, uwita w ciemność, niewidoczna. No, może oprócz zagubionego pasemka popielatych włosów, sterczącego spod wełnianego burnusa koloru nieprzeniknionej czerni.

Lecz Borgusz nie widział, czytał spokojnie. Zatopiony w lekturze zapomniał o swych obowiązkach. I nic więcej żołdakowi nie przeszkodziło, może w pomniejszy sposób dokuczały niegłośne krzyki porucznika stojącego na wieży. Porucznik śpiewał. Chwilę później zaczął sikać. Jednak dzisiejszej nocy wypił zbyt wiele, żeby pamiętać o rozpięciu spodni.

Borgusz westchnął. W pewnym sensie lubił wojsko.

Rozdział 1.

Lało jak z dziurawego cebra. Dudniący odgłos grzmotów tłamsił uszy, straszyl zmoknięte psy, leciał po świetle uderzając w zamknięte okiennice. Parł w górę, wznosił się i znowu opadał, ginąc we wszechobecnym stukocie grubych kropel. Ulice rozmokły. Zamieniły się w trudne do przebycia drogi rozkiszłe błotem, śmieciami i resztkami pomyj. Czasem ohydna breja spiętrzona na pomniejszej przeszkodzie tworzyła niewielkie, kipiące nieczystymi bańkami jeziora.

Deszcz zalewał niemiłosiernie główny trakt wiodący przez podgrodzie. Brukowana topornie ciosanymi kamieniami droga co rusz ukazywała marnie łatanie dziury. Nierówne, krzywe rzędy głazów szczyrzyły tępe łby, ochoczo przeszkadzając spóźnionym podróżnym.

Ludzi nie było, taka brzydź. Siedzieli w suchych domach, niechętni patrzeć na szalejącą nawałnicę. Tylko wysoko na odległym wzgórzu majaczył zamek. Błyskał rozognionymi światłami, migotał trwającą biesiadą, drwił z podmuchów wichury.

Zaledwie jeden człowiek spojrział na odległą budowlę. Zatrzymał na chwilę krok, zarejestrował drżący ruch rzucanych cieni i znów schował pod ogromnym kapturem. Więcej uwagi na zamek nie zwracał.

Szedł pełną cuchnącego błota uliczką. Ciągnął za sobą konia o jasnej prędze na ciemnym grzbiecie. Wierzchowiec postępował w ślad za panem. Miał zwieszony łeb, chrapy z wysiłkiem wciągały wilgotne powietrze.

Mężczyzna szedł powoli, z uwagą. Spod narzuconego kaptura wypływały czarne włosy. Był wysoki, o proporcjonalnej budowie. Opończa skrywała wędrowca dosyć szczelnie. Jedynie na wysokości pasa szlif sylwetki wyraźnie ciął zarys twardego przedmiotu. Miecz wisiał u boku. Psuł harmonię postaci, za to oddalał możliwość napadu.

Woda chlustała na boki, gdy człowiek wchodził w strumienie płynących ścieków. Kule podłego błota wzdymane ciężkim, nawilgłym powietrzem oblepiały wysokie buty. Spływały, zostawiając brudne ślady na skórze grubo smarowanej zwierzęcym tłuszczem. Człowiek brnął, omijając większe kałuże. Kluczył między bajorkami, usiłując wybierać najlepszą drogę. Nie zawsze mu się udawało. Był zmęczony.

Szedł ciemną boczną, sam wyglądając nie lepiej. Jak cień. Utyłany w czarnym błocie, w kirowym odzieniu, z wronym koniem za sobą. Nie odcinał się, nie wyróżniał, a miejscami nawet dobrze komponował z niechlujnym otoczeniem.

Podążał do głównej ulicy, do kamiennego traktu. Przypuszczał, że tam będzie lepiej, łatwiej. Poza tym, było wędrowcowi po drodze. Jemu może tak, lecz nie tylko aurze nie odpowiadał zamysł człowieka.

Śród tego bijących kropel doszły uszu mężczyzny odległe dźwięki. Człowiek przystanął, zatrzymał wierzchowca. Począł nasłuchiwać. I tak już bardziej zmoknąć nie mógł. Chwilę mrużył oczy, usiłując skojarzyć odgłosy, wyłowić charakterystyczne elementy i porównać z brzmieniem, które pamiętał.

Dość szybko rozpoznał źródło niepokoju.

Zacisnął usta w odruchu niechęci, przestał medytować i cmoknął na konia. Wrony delikatnie pociągnięty za rzemienną uzdę znów ruszył. Wszedł za swym panem pod okap jednego z ciemnych domów. Wysmolone, gontowe deski ułożono szeroko, tak, by tworzyły skrawek ganku, miejsce dostatecznie duże, by dać schronienie wędrowcom.

Niegdyś ulokowano tutaj kram. Teraz leciwy, okryty kępkami mchu dach przeciekał w wielu miejscach. Ciemny zaułek pochłonał człowieka, zamazał pomroką konia. Przyjął podróżników jak swoich. Mężczyzna odrzucił na chwilę kaptur, otrząsnął krucze włosy, pogłaskał wronego towarzysza, uspokoił. Sam również czuł wystarczająco natarczywy odór kloacznych dołów i ich nieodłącznych towarzyszy - wiecznie nienażartych szczurów.

Lecz nie miał zamiaru poświęcać więcej czasu lokalnemu folklorowi, toteż zarzucił z powrotem kaptur. Wyrzwał zza węgła domu, spodziewając się nadejścia kogoś innego. Uważnie obserwował widok na rozległy trakt. Nie musiał długo czekać. Burza osłabiła krzyki, zmieniła wyczucie odległości, ogłupiła zmysły.

Nieskładne kroki zbrojnego oddziału zakrapiane siarczystymi przekleństwami dowódcy przebiły wycie burzy. Pierwszy nielicznej publice zademonstrował się sam dowódca. Siedział na podskakującym narowicie karym rumaku. Zwierzę trzepało łbem. Deszcz drażnił wierzchowca intensywnie, spływając szerokimi strugami na oczy. Ktoś zawinął ogierowi grzywę w fantazyjne, szczególnie dokuczliwe frędzle. Jeździec miał trudności w opanowaniu krnąbrnego zwierzaka. Wyładowywał złość na wszystkim, co akurat było pod ręką. Na samodziałowym płaszczu wojskowego widniał emblemat miecza zawieszzonego nad zębatymi blankami.

Mężczyzna pod zadaszeniem przypatrywał się uważnie przybyłemu, choć już wcześniej odgadł, że ma przed sobą książęcych. Krótki, ledwie dostrzegalny uśmiech pojawił się na twarzy wędrowca, gdy zobaczył żółć tryskającą z oblicza dowódcy. Gładko golona broda podskakiwała rzęsiście w takt przekleństw wygłaszanych charkotliwym tonem.

— Do stu źle zgwałconych dziewic! Niemożliwe, że was jeszcze żaden piorun nie trafił! — klął notabl. — Ruszać się! Prędeż, warchoły, bo sam zaraz zejde i wychlastam hamulcowego batogiem.

Pociągnął za cugle, obrzucił gniewnym spojrzeniem i splunął. Podążający za książęcym oficerem oddział przedstawiał zmoknięte, bezmyślne zbiorowisko niepomiernie utrudzonych ludzi.

Jedynie kapral zareagował na słowa dowódcy.

— Słyszeliście pana kapitana? — zawołał, ciężko dysząc. Przystanął. Uwalaną błotem kremową kapotkę przydepnął bezwiednie wysokim butem. — Wartko, kretyni, ale już! Maszerować! Dalej!

Krzyczał jeszcze bardziej piskliwym głosem, gdy wyciągał spod buta płaszcz. A i tak nie szło wojakowi za dobrze. Ze swoim tłustym cielskiem był pierwszym w kolejce do wybatożenia.

Wędrowiec obserwował karkołomne obrzędy żołnierza. Nie był zdziwiony, gdy błazeńskie słowa wywołały jedynie stek cichych przekleństw.

Ktoś zakaszał potężnie, złamał szyk. Zbrojni nie wyglądali lepiej od kaprała. Przygaszone twarze, krótkie oddechy, niezborne ruchy nadawały przygodnym wojakom charakter bezładnej kupy cyrkowych przebierańców. Tylko krótkie miecze u boku i długie halabardy w dłoniach odstręczały od śmiechu.

Ukryty pod dachem mężczyzna wcale nie myślał o żołdakach z respektem. Patrzył ze zmrużonymi oczyma, jak większość księżących wsparta na włóczniach sięga po miano grupy starców na nocnej wycieczce. Nie, nie pomyślał również z szacunkiem o kapitanie. Ignorant zamęczał ludzi bezcelowym bieganiem w parszywą noc.

Ignorant albo i nie. Może być dureń, co wykonuje durne rozkazy. Czarnowłosa, schowany przed deszczem, miał inny punkt widzenia, bo spodobał mu się sposób, w jaki wojacy mijali ciemną uliczkę. Dokonali przemarszu szybko, akurat tak, jak potrzebował.

Mężczyzna spochmurniał. Roztarł krótką szczec wilgotną dłonią. Przypomniawsobie, co słyszał o ostatnich wydarzeniach. Z pewnością nie słyszał pogłosek na temat nowej wojny. Co więc robiło wojsko na ulicach miasta? Środek zapobiegawczy, a może książe chciał przypomnieć, kto tu naprawdę rządzi?

Stojący pod zgniłym dachem nieznajomy wzruszył ramionami. Teoretycznie go rzecz nie obchodziła, praktycznie lepiej było nie objawiać obojętnego stosunku do władz kapitanowi.

Smoknął kącikiem ust. Jeszcze chwilę patrzył w ślad za znikającymi wojakami. Wreszcie, gdy uznał, że już może, wyszedł. Oczami strzelił po okolicznych domach, ale nie poczuł zainteresowania swoją osobą.

Zamrugnął powiekami, otarł rękawem deszcz z czarnych brwi. Ruszył na trakt. Stukot kopyt wierzchowca ukrył w głośnych plaśnięciach zimnych kropel.

Droga czasem lekko zakręcała, by ominąć szczególną budowlę. Szczególną w owym innym znaczeniu, bo gdyby trakt puścili prosto przez środek sfuszerowanej konstrukcji, mówienie o stracie byłoby zupełnie nie na miejscu — zgryźliwa myśl zagościła w umyśle wędrowca.

Fronton długiej ulicy wyglądał nie tylko prowizorycznie, biernie czy nijako. On właściwie w ogóle nie wyglądał, on sobie jedynie istniał. Skruszałe mury, przykryte kupami pakuł dziury w dachach, zastawione śmierdzącymi szmatami wygodki. Po kątach gliniane skorupy, śmiecie, tynk, kamienie, zgniła słoma i fetor. Sugestywna bezbarwność odcięta między sobą granicami zrujnowanych płotów. Nikt nie przywiązywał wagi do wzornictwa, tym bardziej do szczegółów.

Kątem oka mężczyzna rejestrował liche kamieniczki, stare manufaktury, obdrapane warsztaty. Wśród natłoku podrzędności, brudu i byle jakości wszedł na nieduży plac targowy. Pozamykane kramy i stragany stały wokół czegoś, co można było w obecnych warunkach nazwać cudem.

Zjawiskowo śliczna zielona fontanna triumfowała obok starej, wysłużonej studni. Błyszczała nawet w mrokach nocy. Gładka, rzeźbiona w finezyjne ornamenty iskrzyła ciepłym, kolorowym światłem. Lśniącą srebrzyście woda wciąż biła z konstrukcji.

Wędrowiec patrzył, a w jego zimnych, nieczułych oczach zagościł uśmiech. Kontrast. Cud czystości w brudnym chlewie i optymizm w obliczu smutku. Jadeit

świecił, w jednym miejscu ukruszony. Podobno złodzieja znaleziono martwego, promieniejącego łagodnym, zielonym światłem.

Fontanna zostawała obok. Cud zniknął, podobnie jak uśmiech w oczach wędrowca. Buty znów klapały w spoidle mokrych strug. Mężczyzna odetchnął głębiej, napęczniałe krople spadły ze skórzanej lamówki kaptura. Spojrzał poza jedyny ślad architektonicznego kunsztu. Po drugiej stronie rynku stał jego cel.

Oberża „Pod tłustym dzikiem”.

* * *

Pora nie była jeszcze późna. Ledwo zdążył na zamknięcie bramy przy zewnętrznych murach, ale wylękły strażnik już nie chciał go przepuścić.

Z jednej strony szyldwachowi się nie dziwił, aczkolwiek dobrze, że wciąż lepiej od innych rozumiał siebie. Chciał spać. W końcu został wpuszczony. Przekonał strażnika. To akurat umiał.

Co przyszło z małej korzyści, jeśli i tak przemókł? Czarne chmury po całym dniu spokoju zaatakowały z niespotykaną zaciętością. W krótkim czasie świat spowiła jadowita ciemność. Mrok okraszał deszcz błyskawic. Przynajmniej w świetle piorunów. Mógł iść. Wszelako teraz narodziło się pytanie: czy podobnie jak bram, nie zamkną mu przed nosem oberży? Nikt nie lubi obcych, zwłaszcza pojawiających się w tak złą pogodę. Wystarczy swoich.

Dojrzał migotliwe światło przez szczeliny w źle domkniętych okiennicach. Wszedł na pusty dziedziniec. Nikt placyku nie pilnował, nikt obcy po podwórku nie łaził. Wiatr gwizdał między szparami, a zerwanymi płachtami na drewni strzelał rytmicznie. Wędrowcowi pasował ten klimat. Ruszył na tyły karczmy. Do stajni. Wielkiej, na mocnych belkach, utykanych gliną i warkoczami paździerzy.

Z trudem otwierał drzwi, a i tak musiał nożem podważyć skobel, bo nikt normalny nie kwapił się usłyszeć jego dobijania się. W środku oprócz stajennego zobaczył kilku grających w kości chłopców. Stajenny, starszy chłopak o wymizerowanej, bladej twarzy przerwał grę, skoczył do wchodzącego.

— Panie... — wysoki rudzielec stanął przed wędrowcem w możliwie największej, bezpiecznej odległości — ... pan Merkl zakazał przyjmować kogokolwiek, bo nie ma wolnych miejsc.

Chłopak kurczowo ścisnął czerwoną, kraciastą czapkę. Spoglądał nerwowo na swoich towarzyszy, bezskutecznie szukając wsparcia. Reszta kolegów desperacko unikała jego wzroku. Nie patrzyli na wędrowca. On na basałków również. Mężczyzna odrzucił kaptur, strzepał nadmiar wilgoci, rozejrzał się po stajni.

Każda z zagród była pełna. W istocie brakowało miejsca, ruszył więc przez środek budynku. Za sobą ciągnął wierzchowca. Usłyszał trzask. Ktoś zamknął wierzeje.

Rycerz szedł środkiem zasypanego słomą klepiska. Przystanął dopiero na końcu stajni. Na widok wronego przybysza obcy wałach zarżał ostrzegawczo. Wędrowiec oceniał.

— Tu jest dobre miejsce — stwierdził dość pewnym głosem.

— Ale panie! — stajenny podbiegł do niego z wyraźną paniką w głosie. — Miejsce jest zajęte dla dowódcy Terkuna, nie mogę ot tak sobie...

Przerwał mowę, widząc szybującego w swoją stronę miedziaka. Chwyił monetę w chude, długie palce.

— Tak, panie — odparł, bo co miał zrobić. — I tak go nie lubiłem — zamruczał cicho, choć nie wiadomo było, za kim nie przepadał. Zaś dość szybko przeszedł do rzeczy. — Mam rację, chłopcy? — nie zapomniał podeprzeć się kompanami.

Nie załapali, w czym rzecz. Żaden z fafli nie grzeszył inteligencją, co zresztą łatwo dało się zauważyć: palce grzebiące tępo w ustach, poszerzanie dziur w uszach, bezmyślne kopanie zabitego szczura.

— Słoneczny coś okrutnie smyrgał po zagrodzie, trza było konika przestawić gdzie indziej — dokończył rudzielec.

Wtedy natychmiast pędraki swojego herszta zrozumiały. Głośne „yhy” stanowiło potwierdzenie słów stajennego.

„Widać Terkun dużego szacunku wzbudzać nie potrafi” — zauważył mężczyzna. Biały wałach powędrował z oporami do drugiej zagrody. Od razu naparł kłębem na innego konia.

Wędrowiec odwrócił wzrok. Bucefał Terkuna szarżował natarczywością. Gorzej, jeśli przejął namolność od swego pana.

Rycerz zdjął sakwy, pogłaskał Wronego po chrapach. Teraz gospoda.

W progu, tuż przed wyjściem, skierował zimny wzrok na stajennego.

— Opatrz Wronego, a dobrze. Daj mu najlepsze, co masz — kpiący wyraz twarzy nie współgrał ze spojrzeniem. — I pamiętaj, to nie jest zwykły koń. Jeśli będzie z ciebie niezadowolony, dopomni się o swoje.

Wędrowiec zamknął drzwi. Zostawił zaskoczonego chłopaka sam na sam z czarnym zwierzem.

* * *

Oberża „Pod tłustym dzikiem” cieszyła się wątpliwą reputacją. Była dobrym miejscem, żeby zniknąć w tłumie sobie podobnych chytrych bystrzaków o nikczemnej przeszłości.

Wędrowiec wchodził na drewniane schodki. Skrzypiały przeraźliwie. Słyszał o gospodzie wiele historyjek. Teraz stanął u drzwi. Miał nadzieję, że wystarczająco zmókł, by nie budzić zbędnych nadziei kiepskich frantów — o ile nie wezmą go za swego. Westchnął.

Stanął przed frontowymi wierzejami. Pchnął. Rygiel trzymał zasunięty. Załomotał pięścią. Nie użył mosiężnej kołatki. To by było niczym pukać kobelkiem w czoło drewnianej statui. I ona nie zrozumie, w czym rzecz i zacz, który puka zdechnie, zanim figurze powód wyłuszczy.

Drzwi otwarł zaspany staruszek. Szeroki płócienny płaszcz okrywało kilka zdobnych frędzli. Dziadek otworzył szeroko usta, chciał coś powiedzieć, ale widząc nieżyczliwe spojrzenie przemoczonego rycerza tylko odsunął się, robiąc wędrowcowi przejście.

Mężczyzna wszedł do przedsionka. Otworzył główne drzwi i od razu wpadł w centrum hucznej zabawy. Salę wypełniało światło, ostre zapachy, dym z fajek, dziewczki kuchenne, rozochoceni wojacy, rozprawiający ludzie. Wszyscy pili, śpiewali, swarzyli, pyskowali, mruzczyli, wieczerali i wciskali wzajem grube bajdy. Wędrowiec dojrzał, oprócz ludzi i krasnoludów, ośliki, kilku lipsów, a nawet stojącego w kącie aidrona.

Nic go duszna atmosfera nie obchodziła. Na razie.

Przepatrywał pomieszczenie, ślizgał się wzrokiem po towarzystwie, a szukał wolnego miejsca. Karczma, w przeciwieństwie do okolicy, była dość schludna. Nawet zaschłe plamy od krwi dość dobrze wyszorowano. Wewnętrzną salę urządono tak, by podzielić na kilka mniejszych izb tworzonych barwnymi przepierzeniami. Dla głównej części, gdzie siedzieli grajkowie, pozostawiono najwięcej miejsca. Tam też pieczono dzika na wielkim ognisku. Trochę gryzło dymem, bo ktoś cisnął po pijanemu w płomień utopioną w winie krezę, ale za to woń mięsiwa poszła przednia.

Wreszcie przybysz znalazł coś dla siebie. W cieniu, z dala od miejsca, gdzie płaśała tancerka z zasłoniętą twarzą, sterczała przykrótka ława z ułamaną nogą. Stała za daleko od szynkwasu, nieblisko innych, a podle wielkiego filara. Miejsce miało jednak i swój urok. Nie było oddalone na tyle, by ktoś zechciał szukać szczególnego odosobnienia. Niedobre dla spiskowców, rzadko odwiedzane przez kuchenne pannice, nadawało się jedynie dla pojedynczych osobników. Wszelako właśnie ta rzecz odpowiadała wędrowcowi najbardziej: brak towarzystwa w tłumie weselników.

Mężczyzna rzucił na podłogę pakunek, rozsiadł się najwygodniej jak potrafił na kawałku twardej deski i wyciągnął nogi. Odchylony lekko do tyłu, przymknął na chwilę oczy. Przyjemne ciepło, suchy kąć, tudzież familiarne zachowanie towarzystwa gruntownie bimbającego na wszystko i wszystkich poskutkowało napływem błogiego otępienia.

Zdać się mogło — zasnął. A trwał w powyższym stanie na tyle długo, że w końcu został przyuważony. Jedna z obsługujących dziewczek stanęła koło wędrowca. Mokra szmatka zwisała z ramienia. Dziewczyna międlila drobną dłonią koniec szarego gałganka. Bystre, chciwe oczy patrzyły spod przymrużonych powiek. Kobieta oceniała: spał czy nie? Jeśli tak, to gdzie ma sakiewkę?

— Miodu — mężczyzna odezwał się nagle, płosząc dziewczę. — Grzanego. I do tego kawał udźca. Z dzika, rzecz jasna.

— A macie, panie, pieniądze? — dziewczyna chciała się upewnić. Oczywiście czy istotnie ma pełną kaletkę, bez dociekania zrozumiał kruczowłosa. — Nie znam was. Jesteście nowi, a właściciele zawsze nam robią awanturę, jeśli kto nie zapłaci — tłumaczyła, jakby istotnie sprawa miała jakieś znaczenie.

Jeszcze wstydliva jest, widocznie dopiero zaczyna okradanie gości. Chyba że nie. Może już taka wyrobiona?

Dopiero teraz otworzył oczy. Wypuścił na twarz kpiący uśmiezek. Dziewczyna poczerwieniała i znikła.

Nie, nie była aż tak dobra.

Sala wrzała. Rozbudzony wędrowiec spojrział tam, gdzie wdzięcznie frywolił powód radości męskiej części towarzystwa. Tancerka zgrabnie poruszała biodrami. Okryta popielatą—niebieskim, przezroczystym muślinem umiejętnie eksponowała kształty. Kokieteryjnie, acz bez urągliwego hucpiarstwa.

„Dobrze sobie radzi z doborem fatalaszków” — zauważył przybysz. Cmoknął. Na pewno frygający na wszystkie strony materiał odciągał myśli od ciemnej, skrywanej pod leciutką warstwą bladego pudru karnacji. Większość nie zwracała sobie głowy prawdziwym kolorem skóry, reszta wodziła przepitym wrokiem za kształtami. Wędrowiec nie należał ani do jednych, ani do drugich. Jeszcze.

Zwracał uwagę na drobne szczegóły.

Aczkolwiek myślami pogrześlił, gdy zimny wzrok przykuły jędrne, ledwie przysłonięte piersi. Płynęły w rytm muzyki, przyciągały spojrzenia, odbierały rozum. Na uroczy widok mężczyzna wzniósł w górę kącki ust. To prawda, hipnotyzowały. Zwłaszcza wyobraźnię, gdy później próbował odtworzyć obraz twarzy kobiety. Nie potrafił, dziewczyna była dokładnie zasłonięta.

Dalej już nie mógł kontynuować przyjemnie rozpoczętych studiów nad urokami kobiecego ciała. Tancerka popląsała sobie za inną zasłonkę.

— A oto chleb, udziec i miód.

Nadąsany ton posługaczki w sposób prawdziwie wykwalifikowany zepsuł resztki miłego wrażenia. Gliniany dzban zadudnił o stół.

Dziewczyna zabrała grzechoczącą monetę. Znikła, machając z zadowoleniem połami białawego fartucha.

Pierwsze uczucie zmęczenia minęło wraz z pierwszym kęsem pieczystego. Żołądek załaskotał przyjemnie. Bierność odeszła. Do uszu wędrowca poczęły wpadać prowadzone obok rozmowy. Zerknął na stół przed sobą. Kompania odzianych kolorowo rycerzy siedziała przy szerokiej ławie. Szydzili głośno z pijaka, który w zamian za jarmarczną historię usiłował wyszabrować kubek wina.

— No, dalej staruszku — zachęcał jeden z młodzieńców. Spod zdobionego w lwy kaftana wychodziła kolczuga. — Co nam opowiesz? My nie stąd, więc łasim na ciekawe gawędy.

— Najlepsza gadka o starych dziejach. No i żeby było dużo dobrej rycerskiej roboty, a posoka niech tak płynie, coby wino w żołądku aż się ślizgało — dodał drugi, nadzwyczajnie gruby.

Jadł łapczywie. Płowe włosy zakrywały mocarny kark.

— No, o ile, przepity starcze, znasz coś podobnego — zarechotał inny, piękny przywódca.

Oczy ślicznemu młodziankowi błyszcząły zupełnie jak alpakowa bluza tkana w drobne węże. Troje kompanów zawtórowało drwiącym śmiechem, i tylko jeden pozostał beznamiętny. Patrzył kamiennym wzrokiem, miał na całość zabawy baczenie. Długi, zgrzebny, wojskowy lejebik znaczyły twarde kształty.

Wędrowiec zerknął bez specjalnego zainteresowania na pijaka. Piękny młodzieniec kpił w żywe oczy, ale rozmijał się z prawdą. Pijak wcale na staruszka nie wyglądał. Owszem, nieco przekrwione oczy, zniszczona twarz, siwe włosy, przygarbienie — wszystko to świadczyć mogło o upływie lat. Jednak w istocie rzeczy

nie świadczyło. Czarnowłosa popatrzył uważniej. Co z tego, że popielate włosy spływały kołtunami na kark, a równie siwa broda skrywała twarz posiekaną bliznami. Blizny postarzają, nobilitują, szczególnie owe dziwne, będące efektem ostrych rozdarć.

I oczy. Półprzymknięte, podkrążone, ale jakoś nie zachodziły sfermentowaną, ograniczającą myślenie pijacką mgłą. Wodniste, ruchliwe, bystre, krążyły niestrudzenie po młodzieńcach. Wędrowiec szybko zrozumiał — pijak oceniał.

Czyli złodziejaszek? Nie, żaden złodziej przy zdrowych zmysłach nie ważyłby się kraść grupie rycerzy. Wzrok był ostry, nieomal zaczepny — bajarz szukał przeciwnika. „Tak — wędrowiec ugryzł udziec — i to niewątpliwie nie do pojedynku w piciu”.

— A jakże, czcigodni panowie — zaczął gawędziarz. — jeśliście przyjezdni, to znam taką jedną opowieść. Stara gadka, ale splendorem i mirem okryta. Otóż, jest to historia założenia Piekorogów.

— I co, opowiesz nam, jak to przyjechało trzech bezmózgich kretynów w strasznie ważną misję ratowania bezpańskich dziewczyc? — kolejny raz dworował sobie przystojny młodzieniec.

— A potem, Surgacz, zaraz się dowiemy, że owe bezmózgie matoly wytłukły tak z pięć kop orków, z powodzeniem obległy zamek złego maga i na końcu uratowały nie trzy, ale cały tuzin dokładnie już zesmaconych dziewczyc — dogryzł gruby. — A potem wszyscy żyli długo i cholernie z tego powodu byli nieszczęśliwi, bo to wcale nie były posażne dziewczice. Ech, następny dziadek imbecyl.

Przez chwilę wędrowiec zauważył błysk gniewu w oczach pijaka.

— Gdybyż, mój panie, było jak prawisz, sam uznałbym się za pijaka — bajarz uderzył dłonią w pierś, wywołując kolejną salwę śmiechu, czknał. — Ale, panie, sprawa jest starsza. I tysiąc lat już ma. Pamięta czasy wielkiego imperatora — mężczyzna podsunął kubek, ale nikt nie nalał. Każdy imperator był wielki. Westchnął więc tylko i kontynuował opowieść. — W tamtych zdradliwych czasach na drugim brzegu Koronki stała prastara cytadela. Cała w czarnym, magicznym kamieniu fortyfikowana. Rządził tam potwór okropisty i z owej warowni wypadły na przejezdnych czyniły. I obojętne dewiantowi było kogo, bo i zbrojnych niby psy ubijał.

Młodzieńcy umilkli, spojrzeli po sobie.

— I w czasach wielkiego imperatora, powiadasz, się te wydarzenia działy? — wymruczał nieswoim, spiżowym głosem przywódca.

— Ano, wielkiego — odparł gawędziarz, niespieszony nagłą zmianą nastroju.

Wystawił kubek. Grubas zatrzymał wzrok na przywódcy.

— Niech gada, może i co ciekawego powie.

Przystojniak popukał w drewnianą czarzę, a potem odchylił do tyłu głowę. Gdy wrócił, na twarzy Surgacza wędrowiec nie odnalazł niczego poza młodzieńczym znudzeniem.

— I co mówisz? Że potwór zbrojnych ubijał?

Pijak chciał potwierdzić, ale nie zdążył.

— Ni chybił musiała to być mantikora — wtrącił grubas z zapchanymi ustami.

Ręce miał upaprane w serowym kołaczku.

— Głupiś, Zomber — parsknął w gniewie inny, niski. Z nerwów wyskoczyły niecierpliwcowi na oblicze czerwone wykwity. — Mantikora w Wielkomierzu nie ma i nie było. Poza tym latają i zatrutymi strzałkami z ogona rzucają, a rycerz w zbroi trudna sztuka. Kumaszu, puszysty chłopaczku?

Odpowiedź otrzymał dosadną. Rozgorzał spór. Kłótnia przeszła w ostre słowa. Wreszcie piękniś uciszył nazbyt krewkich towarzyszy. Wyglądał na najmłodszego. Delikatne, kobiece rysy twarzy tchnęły surowym pięknem.

— A iluż zbrojnych na raz pobić potrafił? — zapytał gawędziarza, który wykorzystał moment sprzeczeki i sam sięgnął po butelkę.

— O, młody rycerzu! — pijak nalewał wino do kubka. — I cały oddział wyrząść nieraz zdołał.

Śmiech przeszedł przez stół.

— No, stary capie, już całkiem zeszcłte bujdy ciśniesz. Surgacz, powiedz coś osłowi, bo nie zdzierzę i zęby, o ile ma jeszcze jakie, wystukam durniowi stołkiem zara — niski, trawiony zacietrzewieniem nie mógł prawie usiedzieć. W nerwację snadnie wpadał. — Zaś wystarczy siatkę wziąć i szast prast siatką skrzydłatego, a potem włóczniami dobić.

Pomruk potwierdzenia przeszedł między rycerzami.

— A czy ja kiedykolwiek, szanowni kawalerowie, mówiłem, że owe monstrum skrzydła posiadało? — siwy pociągnął z kubka.

Wychynał jednym haustem, a grdyką prawie nie poruszył. Siedzący obok czarnowłosa cmoknął z uznaniem. Miał już jakie takie pojęcie o bazarzu i uznanie rosło z każdą chwilą.

— Słuchaj, dziadku, żeby naraz cały oddział załatwić, to trza z góry na nich co potężnego rzucić — wydał policzki inny, rudzielec. — Zaraz ci za wino oddać każemy, jeśli nie powiesz czego ciekawego.

Gawędziarz zamlaskał ustami, przełknął resztki wina.

— Ale jakie wino, przecie prawie nic nie upiłem — sarknął. — Ale już, już, nie niecierpliwcie się, wielcy panowie, bo sprawę poważną wam dyktuję.

Przymknął na chwilę oczy i smakował napój, a potem czknął. Rozjątrzeni młodzicy przestali czekać, niski walnął w stół. Już chciał wrazić fangę w nos bazarza, lecz ów przemówił. „Dobrze wyczuł moment” — zauważył w myśli wędrowiec.

— Nie siedział w warowni ni skrzydlaty, ni wodny stwór. Tym bardziej nie mantikora — powiedział gawędziarz.

Znów wystawił cierpliwość młodzieńców na próbę.

— Więc co? — zapytał grubas Zomber. Wytrzeszczył oczy. — Smok? Taki bez skrzydeł? Znaczy się, ktoś biedakowi furgajła obciął i puścił kalekiego w pole?

Przywódca młodzieńców puknął w czoło grubasa. Natomiast gawędziarz wrócił do kubka. Nalał sobie, a chlusnął z gliniaka zdecydowanie szybko. Nie zwrócił uwagi na pytanie Zombera.

— Nie wiadomo, skąd plugawiec w tutejsze dziedziny przylazł — nachylił głowę konfidencjonalnie do środka stołu, ściszał głos. Rycerze, bezwiednie, również przycisnęli w kółko łby. — W południowych krainach podobno takie widywano. A za granicą zwano stwory minotaurami.

Czarnowłosa zapił tego winem. Nagła wesołość na wzór młodzieńców go nie chwyciła. Słuchać jednak nie przestał, podziwiał egzotyczną fantazję bajarza.

— Potwór ów wyglądał niczym człowiek, z tym że zamiast głowy na straszliwym karku spoczywał łeb byka ogromnego — kontynuował niezrażony pijak.

Wreszcie ktoś z młodych farysów przestał rzeć.

— Zakładając nawet, że w istocie na warowni siedział minotaur, tedy co z powyższego? — prychnął niski i zabębnił palcami po stole. — Trza było partyzaną lubo pikami do murów zawodnika przybić, albo z łuków jako jelenia ustrzelić. Nawet siłą nic by nie zrobił.

Bajarz popatrzył na rycerza jak na nierozgarniętego chłopca do bicia.

— Otóż nic z podobnych rzeczy, mój młody przyjacielu — odchrząknął, rzetelnie czyszcząc kaftanem poczerwieniałe od grzańca wąsy. — Nie tylko kreatura silna była, lecz mocami magicznymi jeszcze dysponowała. Bo cóż, faktycznie nietutejsi jesteście, pomyślcie: skąd miasto nazwę wzięło?

Rycerze spojrzeli po sobie, wzruszając ramionami, tylko niski wciąż nie stracił rezonu.

— No, kiedy się zebrali kilku tobie podobnych dziadków, dobrze spiło, wtedy i każdą pierdołę wymyślić mogło.

Zarechotał, a reszta za niecierpliwcem. Ubaw mieli setny. Bajarz wcale jednak dowcipem niskiego facecjonisty się nie rozbawił, jednakowoż złość na oblicze również gawędziarzowi nie wyszła. Spojrzał na pełen kubek. Radość rozświetliła zniszczoną twarz.

„Wino zmienia poglądy na ludzi” — zauważył czarnowłosa przybysz z wysokości swej malutkiej ławy. A może tak to miało jedynie wyglądać?

— Widzicie, moi zacni gospodarze... — zaczął bajarz, rozpierając się w pozie wygodnej na niewielkim zydłu — otóż, stwór posiadał rogi, które rzucały magicznymi błyskawicami. Raził wrogów z wielkich odległości ogniem z samego dna piekieł. Nikt pola straszydła dotrzymać nie umiał. Rycerzy w zbrojach przypiekał niczym dziki na rożnie. Spustoszenie po okolicach siał przeogromne, a nikomu nie popuszczał. Ni złym, ni dobrym. Silnych na łajdaka nie było. I nikt rady dać bydlakowi nie potrafił.

— Jak tak? Sam z siebie ogniem rzucał, ale żeby...? — zapytał Zomber.

Nie dokończył.

— A co, imbecyłu, myślisz, że w kuble ze sobą palenisko woził? — niski przymówił złośliwie grubasowi.

Mimo obraźliwego pytania Zomber się nie zraził, bo myślał o czym innym.

— Coby ogniem rzucać trzeba zaklęcia mocne wypowiadać, przygotowania czynić, czasu mieć. Nie tak jest, Kicon, tumanie pyskaty? — dopiero teraz dogadał niskiemu.

Niski wydał usta, zaczął myśleć. Wędrowiec widział kątem oka, że owo niezwykle zdarzenie wyłobilo kilka bruzd na spoconej twarzy Kicon. Młody rycerz wziął nóż, wydarł sprawnie kilka długich kresk na ławie, ale nic nie odpowiedział.

Ten spokój wykorzystał bajarz, bo znów nachylony począł mówić tłumionym głosem:

— Kreatura piekielna zaklinać nie musiała — czegoś szukać zaczął w luźnej opończy, nie przerywając póki nie znalazł i wyciągnął steraną fajkę. — Albowiem wielka i potężna siła magiczna w minotaurze siedziała, z głębin prawiecznej cytadeli płynąca.

— Jeśli prawdę gadasz, tedy nikt by faworyta szatańskiego zabić nie mógł — pokiwał głową smętnie rudzielec. — No, chyba żeby my tam byli... — urwał, bo język mu się naraz zaplątał.

Czarnowłosa zdołał dojrzeć, jak kopniak pod stołem umiejętnie wymusił zmianę toku myślenia. Rudzielec położył po sobie uszy na chwilę przedtem, nim spoczął na gadatliwcu dziwacznie ciężki wzrok przywódcy, Surgacza.

— Czyli, chciałem powiedzieć... — bełkotał ledwie zrozumiale. — No, chyba żadnej siły, co by arcyłotra pokonać mogła, na ten czas nie zaistniała.

Bajarz nabijał fajkę. Jeśli nawet spostrzegł zacięcie w mowie rudzielca, to specjalnego wrażenia na gawędziarzu nie wywarło.

— I tu zaś, chłopcze, widzimy klasyczną pomyłkę laików istoty czarownictwa niepojmujących. Na jedną magię zawsze jest inna, a na tą znowuż jeszcze inna i tak w kółko. Niejako zbrojna spirala magiczna — stwierdził. — Ale do rzeczy wracając, był czasu onego rycerz, który w szranki z bogami stawał. I miał ci tarczę magiczną, co ogień minotaura odbić potrafiła. I cała niezwykła była. Będąc więc blisko potwora, moce bezecnikowi odebrała. Kiedy tylko kreatura strzelić w rycerza chciała, rogi zapiekły ją samą. Tedy stanął rycerz przed minotaurem jak równy z równym i pobił potwora. A walka długa była. Na miejscu, by zło nie miało więcej przystępu, rycerz miasto założył. A na powyższą, niezwykłą okazję, Piekorogami gród nazwano.

— A któż był ów podły bohater, co minotaura pobił, he? — grubas wysmarkał na podłogę swoje pytanie, obtarł nos mankietem w szare lelki wyszywanym. — Tak podstępnie zabić w nierównym pojedynku, chyba jeno pozbawiony czci sługus mógł.

Bajarz popatrzył spode łba.

— Nikt inny, tylko sam Rechor minotaura zmógł — wypowiedział imię sztywnym tonem.

Słowo odcisnęło się wstrętem na obliczach młodzieńców.

— Rechor Przeklęty — wycedził Surgacz z zacięciem — I samo wspomnienie o nikczemnym władcy karane być może.

Gawędziarz powoli podniósł głowę, spojrzał zimno na rycerza, a oblicze zbrzydło siwemu bajorzowi nagle, wręcz jadem ociekło.

— A kto mnie karać będzie? — syknął. — Ci co historii nie znają i gniazdo kalają ignorancją haniebną? Przeklęty na prawdziwego władcy mówić. Tfu! — splunął na podłogę. — Taki przydomek nadali głupcy i obłudnicy. Dawniej Rechora Wielkim nazywano.

Czarnowłosa przybysz siedział sobie wciąż obok. Pilnie śledził rozmowę, ale jeszcze pilniej zajmował się pieczytym. Wkrótce czknął głośno. Bynajmniej nikogo zachowaniem nie zdegustował.

Równie dobrze mógłby puścić wiatry, a poszłyby swobodnie, ginąc w sobie podobnych bukietach zapachów. Potrząsnął głową. Nie zamierzał w powyższym względzie ściagać reszty towarzystwa. Jeszcze do pewnych spraw nie dorósł.

Jednak nie dane było przybyszowi słuchać dalszej części bajki pijaka, ni przemyśliwać, kim są rycerze niezręcznie udający tępych młodzianów. Westchnął, bo z pewnością coś w zachowaniu mało wyrywnych chojraków nie współgrało. Co, to już nie był jego problem. Miał kolejne zmartwienie. W końcu przebywał w karczmie.

Błogość z powrotem rozlała się po wszystkich członkach, a przy okazji od wina jeszcze przyjemnie zaciężła głowa. Oparł potylicę o wytłuszczoną belkę i przymknął oczy.